

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy” Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.

Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II.

WARSZAWA, DNIA 25 PAŹDZIERNIKA 1924.

Nr 59.

Z ziemi obcej do polskiej...

Przy odgłosie dzwonów żałobnych i armat grania prochy Henryka Sienkiewicza odbywają ostatnią, na miejsce wiecznego spoczynku, pielgrzymkę z ziemi szwajcarskiej do polskiej.

Przed okrytą sztandorem narodowym trumną kryjącą serce wielkiego artysty polskiego, pochylają się w hołdzie sztandary i głowy kulturalnych narodów świata. To hołd dla talentu wielkiego syna Polski, której tradycje rycerskie tak barwnie a pięknie jego piórem uwiecznione i wstawione zdąży wobec świata bliskotliwy egzamin swych żywotności, zdobywając Ojczyźnie wolność i ratując starą kulturę Zachodu od zagłady. To hołd dla intelektu polskiego opromienionego tradycją przodowania światu, dla polskiej myśli politycznej szczycącej się pozostawionemi na drodze swego rozwoju trwałymi pomnikami, a od której łączące pokój narody oczekują nowych objawień, do szczęścia powszechnego wiodących.

Ileż symbolicznej treści zawiera zbieg faktów, że dzisiaj właśnie, gdy tryumfalny powrót prochów Sienkiewicza do ojczyzny przypomina światu skarby polskiego intelektu, rozkołysane sprzecznymi wichrami sklepienie europejskie z niepokojem obserwuje wytrzymałość klucza polskiego, który skupiając na sobie wszystkie wstrząsy, musi chronić przed ich skutkami całość konstrukcji.

Za trumną Sienkiewicza kroczą, pragnące wierzyć w polski rozum stanu, nadzieje demokracji świata.

Dojrzałość czy bezwład Sejmu?

Część prasy codziennej uznała za dowód dojrzewania naszego parlamentu, że w związku z wznowieniem prac po wakacjach letnich nie zdradza on tendencji w kierunku rekonstrukcji lub zmiany gabinetu, czyli wywoływania t. zw. przesilenia rządowego.

Istotnie, druga część tej diagnozy odpowiada prawdzie; co zaś do pierwszej, to budzi ona tyle zastrzeżeń, że niesposób przejść nad nimi do porządku dziennego.

Jużci, że w zasadzie zadaniem parlamentu nie jest wywoływanie przesileni gabinetowych, lecz próżno usiłowałibyśmy stąd wyciągnąć wniosek, że dojrzałość przedstawicielstwa narodowego należy mierzyć niechęcią do spełnienia tego obowiązku, jeśli jest on konieczny.

By należycie ocenić pobudki obecnej ciszy i powściągliwości Sejmu należy pokrótce uprzytomnić sobie charakter obecnego rządu, sytuację w łonie Wysokiej Izby i położenie państwa, w zasadniczych przynajmniej zarysach.

Po dziesięciomiesięcznych doświadczeniach musimy powtórzyć parokrotnie powtarzane już twierdzenie, że gabinet p. Wł. Grabskiego nie jest rządem w pełnym tego słowa znaczeniu. Sam premier jest osobistością tak wielce zasłużoną w dziedzinie reformy walutowej, że bez obawy narażenia się na nieporozumienie możemy stwierdzić, że, ostatnimi zwłaszcza czasy, wzbudził w szerokich sferach społeczeństwa obawy, czy jako minister skarbu zdoła powstrzymać, opanować i przewyciężyć kryzys gospodarczy, którego ciężary odczuwają coraz dotkliwiej masy fizycznych i umysłowych wyrobników. Nie można się łudzić aby zadanie to miało zyskać jakiegokolwiek widoki powodzenia przez niepokojące zaniedbanie innych dziedzin życia państwowego, powierzonych w większości mózgom słabym i dłoniom niezręcznym, wpadającym, pod wpływem komplikacji przez życie nagromadzonym, z bezwładu w nerwość i przesadę. Nadzwyczajne komisariaty kresowe, tworzone zresztą z pobudek osobistych, nie zastąpią polityki wewnętrznej; krętaćto, bo tak to nazwać wyraźnie trzeba, z uniwersytetem ukraińskim i nierozumne kpiny z nędzy studenckiej nie zastąpią potrzeby liberalnej i szerokiej polityki oświatowej; przedłużanie dnia pracy w przemyśle i pośrednictwo w strajkach nie wypełnia programu prac, ciężących na ministerstwie pracy; a beznadziejna przyziemność aspiracji p. Wyganowskiego, ukoronowanych nominacją „ochrannika“ Płakidy na stanowisko sędziego na kresach, w niczem, ale to dosłownie w niczem nie przyczynia się do sanacji korpusu sądowego i ujednostajnienia wymiaru sprawiedliwości. Obiektywnie rzecz biorąc, szereg ministerstw wymaga gwałtownej zmiany gospodarzy, i pod tym względem obojętność sejmu nie może być za-

pisywana mu na świeżo otworzone przez łaskawych wierzy-
cieli conto dojrzałości. Do tego obrazu gabinetu trzeba ponadto
dodać toczące się w jego łonie intrygi, nie dodające mu ani
powagi, ani spoistości.

Przechodząc do analizy t. zw. dojrzałości sejmu, możemy
bez dłuższych dyskusji i rozważań stwierdzić, że, niestety,
spokój jest raczej wynikiem jego wewnętrznej bezsiły, niż głębo-
kich przemyśleń. Niewątpliwie sejm nasz, mimo rozpaczliwego
umysłów doboru, nabiera pewnej ogłady parlamentarnej, lecz
przypisywanie temu powierzchownemu procesowi głębszej treści
byłoby ryzykiem zgoła szkodliwym. Zło położenia tkwi w nie-
zdolności Sejmu do spełnienia zasadniczego swego obowiązku—
wyłonienia rządu parlamentarnego. Jeśli ktoś szanuje ustrój
parlamentarny musi się z tem zgodzić, że rządy urzędnicze są
złem, którego absolutnie na dłuższą metę tolerować nie można.
Nie będziemy się odwoływali do przykładów zagranicznych —
zbyt są dla nas upokarzające; wskażemy jedynie nie na tak
zasadnicze anomalje, jak rezerwowanie sobie przez ministrów
urzędniczych stanowisk, z których powołani zostali do sprawo-
wania rządów. P. Hübner np. do dnia dzisiejszego rezerwuje
dla siebie urząd prokuratora sądu apelacyjnego, p. Darowski
rezerwował sobie nawet teką ministerjalną udając się w charak-
terze posła do Moskwy, i t. d. — przykłady można by mnożyć
bez końca. Jakaż może być wartość pracy ministra, traktują-
cego swe zadanie jako zło czy zaszczyt przejściowy, które
dziś lub jutro porzuci, by powrócić na swe stałe, zarezerwo-
wane stanowisko?

Na cóż wszelako przydadzą się argumenty, przez wszyst-
kich zresztą posłów podzielane, kiedy sejm nie jest zdolny do
wytworzenia większości. Zdecydowane stanowisko N. P. R.,
której zjazd ostatni oświadczył, że „ze wzgardą odrzuca wszel-
kie zakusy reakcji, zmierzającej perfidnie do zgnębienia demo-
kracji i utrwalenia w Polsce rządów reakcyjnych“ zabiło na-
dzieję prawicy i Piasta na ponowienie kombinacji wspólnego
rządu przy udziale, niezbędnej do większości, tej właśnie partji
robotniczej. Pozostawałaby tedy możliwość większości lewicowej,
do czego wszakże nie poczyniono żadnych kroków: w kierunku
konsolidacji, wypracowania wspólnego programu, ustalenia
stosunku względem klubów mniejszościowych i t. d.

Nic też dziwnego, że w tych warunkach sejm z bezradnością,
poczytywaną mu za dojrzałość, przygląda się w oczy bijącym
ułomnościom rządu, i prawa ani lewa jego strona nie może
wziąć odpowiedzialności za kryzys, jaki mógłby wynikać, gdyby
p. Wł. Grabski zechciał z próby wystrzelenia mu tego lub in-
nego nieudolnego ministra uczynić kwestję gabinetową.

Wysokiej lźbie pozostaje w rzeczywistości rzucenie swoich
mandatów na chazard walki wyborczej, do czego nie wielu
bodaj czuje ochotę, lub oddawanie się fałszywemu optymizmowi

co do położenia państwa, w myśl dowcipnej przesłanki, że pan Bóg chce Polski, więc chociażby jej nie chcieli Polacy, to przecież pan Bóg jest od ludzi mocniejszy i ostatecznie stanie się zadość jego woli, Amen.

W. Stpicyński.

Anatol France.

Anatol France umarł. Z tym osiemdziesięcioletnim starcem schodzi do grobu nietylko największa sława literacka Francji, ale i niestrudzony bojownik o wolność i sprawiedliwość. Dla niego, podobnie jak i dla wielu innych wielkich francuzów drogą do Damaszku stała się sprawa Dreyfusa. Nie o osobę, mało zresztą sympatyczną, skazanego oficera szło wówczas Zoli, Gabrjelowi Siailles, Psycharemu, Karolowi Péguy, Monetowi i tym wszystkim *intellectuels*, którzy opuścili zaciszne biblioteki i laboratorja, by wystąpić do bezwzględnej walki o ideę sprawiedliwości, w ich pojęciu nierozdzielnie związaną z ideą republikańską, o oparcie życia społecznego na prawdzie, o dawne hasło: „*pereat mundus fiat justitia*“. W ich szeregu znalazł się wytworny esteta, sybaryta kolekcjonerantyków, kwintesencja wytworności ducha francuskiego, Anatol France. Rzucił na szalę swe nazwisko, swą sławę, swe stanowisko, rozumiejąc, że w chwili, gdy toczy się walka o idee, nie wolno artyście zamknąć się w wieży z kości słoniowej.

Walczył nietylko słowem na wiecach, ale i piórem. Z sceptycznego, obojętnego na życie publiczne Jérôme Coignard'a, wyłonił się p. Bergeret, który zachował sceptycyzm swego poprzednika do ludzi, ale odnalazł w sobie wiarę w ideę sprawiedliwości. Cykl czterech powieści, których p. Bergeret jest bohaterem, najświetniejsze może dzieło Anatola France'a, jest nietylko arcydziełem subtelnej ironji, lecz i czynem. I raz potrącona nuta brzmiała już stale dalej. Późniejsze powieści France'a wszystkie już prawie mają akcent odmienny od dawnych. Nie mówiąc tu już o „Wyspie Pigwinów“, wyraźnej satyrze politycznej, ale i w „Bogowie łakną krwi“ i w „Buncie aniołów“, szczególnie w Crainquebille, czujemy nietylko artyście, który się bawi tworzonemi przez siebie marjonetkami ludzkiemi, jak to było w „Zbrodni Sylwestra Bonnard“, lub w „Czerwonej Lilji“, ale myśliciela, którego trawi poszukiwanie rozwiązania zagadki sprawiedliwego współżycia ludzi, człowieka, w którym obudzona została miłość do ludzi i litość.

Dla tego też Anatol France pozostał w życiu politycznym. Ale nie z tymi co z idei dreyfusizmu, idei walki o wolność zrobili później geszeft polityczny, lecz z tymi co walczyli dalej o realizację sprawiedliwości na ziemi. Spotykamy go u boku Jaurès'a i Francis de Pressensé tam wszędzie, gdzie należało

protestować przeciwko gwałtom na ludzkości, czy gwałtem tym była rzeź ormian przez Turków, czy krwawe rządy caratu. Najwykwintniejszy mistrz słowa, człowiek w którym Karol Maurras, teoretyk rojalizmu, widzi najczystsze wcielenie ducha francuskiego, stał się szeregowcem partii socjalistycznej zjednoczonej. Tem dążeniem do absolutu sprawiedliwości da się wytłómaczyć to dziwne na pozór zjawisko, że w ostatnich latach Anatol France oświadczał, że jest komunistą. Człowiek, który stworzył typ Ewarysta Gamelin, sentymentalnego i cnotliwego malarza, który przez tą cnotę właśnie staje się okrutnym i niesprawiedliwym katem, który wielkość Rewolucji Francuskiej usymbolizował nie w postaci któregośkolwiek z jej olbrzymów, ale w postaci biednego suchotniczego sekretarza jednej z gmin paryskich, poświęcającego całe swe życie sprawie, mógł, będąc daleko od piekielnego kotła bolszewizmu, wierzyć w to, że tam z morza krwi i cierpień wylania się jakaś idea sprawiedliwszego rządzenia światem, niż rzeczywistość dzisiejsza, mógł się ludzić, że łuna pożarów jest zorzą wschodzącego słońca. Czynić mu z tego zarzut jest faryzeustwem.

I jeśli, jak spodziewać się wolno, zwłoki Anatola France'a spoczną w Panteonie, będzie to hołd zasłużony, oddany nie tylko wielkiemu pisarzowi ale i wielkiemu człowiekowi.

W M. S. Z. dzieje się i nadal niedobrze...

Przed paru tygodniami czytaliśmy komunikat M. S. Z. o zmianach personalnych w tym urzędzie i już wtedy niejedno nas zastanowiło. Wstrzymaliśmy się od komentarzy wiedząc, że nowy minister zajęty wielkimi zagadnieniami politycznymi i sesją Ligi Narodów, dopiero po jej zakończeniu będzie miał czas zająć się zupełną reorganizacją wewnętrzną tego zabagnionego przez poprzedników urzędu. Czas jednak mija, a pewne symptomy wskazują, że nic się nie zmienia, że wpływy jednostronne kół politycznych nadal szkodliwie trwają...

Tymczasem ograniczymy się do charakterystycznego przykładu. Chodzi tu o pewną placówkę, w której od lat kilku, pomimo zmian ustawicznych, pozostaje jako radca poselstwa pan Maciej Loreť. Historia pana Loreťa nie wskazuje na to, by był on tam osobistością pożądaną, lecz przeciwnie, jako urzędnik słaby i mało zdolny, niczem się nie odznaczył, a jako człowiek znieprawiony jest przez wszystkich swych szefów i kolegów, przez Włochów zaś określony krótko — „antipatico“.

Kto zacytował ów pan Loreť i co trzyma go w Rzymie?

W jednym z gimnazjów łwowskich był sobie uczeń „głupim Mackiem“ zwany. Tępy a pilny zwyczaj „kujoń“ nie był tak głupim, jak sądzili koledzy. Kując bowiem i podlizując się profesorom donosami skończył gimnazjum, uniwersytet i został suplentem. Znieprawiony przez uczniów, pozostawił po sobie przykrą pamięć i wspomnienie incydentu, w którym dziecko kilkunastoletnie w obecności całego grona profesorskiego rzuciło mu w twarz: Pan Loreť poszukał więc innej kariery, tym razem naukowej i protekcjami, powoływaniem się na grożącą mu chorobę piersiową i bieganiem po c.-k. korytarzach Rady Szkolnej Krajowej, uzyskał stypendjum austriackie do Biblioteki Watykańskiej. Pan Loreť nie znalazł i nie zajmował się polityką, lecz rozumiał, że jest ona

szczeblem do kariery; patrząc więc i słuchając „skąd wiatr wieje“, wszedł w stosunki z Radą Narodową galicyjską, ekspozyturą modnej naówczas endecji. Otrzymywał fundusze na tłumaczenie jej wydawnictw w języku włoskim i zasługiwał się jak mógł i gdzie potrafił. Wybuchła wojna, pozbawiony stypendjum austriackiego pan Loret stał się agentem płatnym pp. Skarbka i Cieńskiego, destruktorów Legjonu Wschodniego, którym starał się pomagać, opisując w dziennickach włoskich legjony Piłsudskiego jako „ciemne i otumanione bandy robotnicze“. Pan Loret zasługiwał się w ten sposób i policji włoskiej, która niechętnym okiem patrzyła na austriackiego stypendystę. Chodziło więc o zapewnienie sobie i w tych kołach dobrej opinii. Gdy akcja obozu niepodległościowego we Włoszech rozwinęła się znacznie i opinia włoska, acz antiaustriacka życzliwie odnosiła się do polskiej akcji zbrojnej, rozumiejąc w niej początek narodowej armii, pan Loret rozpisywał na wszystkie strony listy, denuncjując niepodległościowców, jako szpiegów austriackich. Dostawszy znaczne fundusze od swych przyjaciół politycznych i od Komitetu Sienkiewiczowskiego, pan Loret przy pomocy jednego ze sprytnych dziennikarzy włoskich zorganizował ankietę w sprawie Polski. Zabrali w niej głos liczni politycy i pisarze oraz panowie i panie z towarzystwa. Szlachetni Włosi pisali o niepodległości polskiej, bo tak tylko umieli patrzeć na przyszłość naszego narodu—pan Loret w anonimowej ankiecie pisał o „zjednoczonych ziemiach polskich pod wspaniałomyślnym berłem Romanowych“. Dużo na ten temat było cierpkich komentarzy wśród opinii włoskiej.

Włochy wydały wojnę Austrii i biedny „zwolennik Romanowych“ wywieziony został jako „podejrzany“ na wyspę Sycylię do obozu jeńców cywilnych. Po dwóch latach dopiero wydobył pana Loreta z niewoli Komitet Narodowy, mianując go jednym z kilku sekretarzy przy swoich delegatach na Włochy, p.p. Skirmuncie i Janiszowskim. Sytuacja ta nieodpowiadała ambicjom męża zaufania galicyjskiej endecji, to też rozpoczęły się odrazu w tym „małym i dobranym towarzystwie“ nieporozumienia i intrygi w których dopomagał panu Loretowi również zawiedziony w ambicjach pan Zamorski, obecny apostoł Chjeno-Piasta, a naówczas zbolszewiczyły w niewoli oficer austriacki. Zresztą gwiazda Komitetu narodowego gasła, a przychodził do władzy w Polsce Piłsudski. Pisali więc obaj pokrzywdzeni, pan Zamorski i Loret, gwałtowne listy do kraju, podpisane i anonimowe, oskarżając Skirmunta i Janiszowskiego o rusofilstwo i grozili tym panom rewelacjami. Charakterystyczny list p. Zamorskiego pisany do Misji Polskiej w Bernie, a uderzający całą namiętnością w Komitet Dmowskiego, znany jest szerokim kołom politycznym. Zbliżała się chwila nominacji dyplomatów polskich. Pan Loret zaniepokojony o swoją karierę, pretendujący do wysokiego stanowiska, rozpoczął objazd po Europie z rewelacjami przeciwko kandydatowi na posła w Rzymie, Skirmuntowi.

Pan Loret przegrał, ale, by go unieszkodliwić, mianowano go radcą poselstwa przy Watykanie, aczkolwiek sam głosił, iż jest podejrzany o „masoństwo“. Nie zaspokoilo to jednak jego ambicji, pisał więc dalej anonimowe i artykułki o „rusofilstwie“ Skirmunta, „szpiegostwie“ Janiszowskiego i o „jezuityzmie“ swego szefa, posła Kowalskiego. Wmieszany w przykrą i skandaliczną handlową aferę swego przyjaciela i protegowanego adw. Olszewskiego w Bolonii przycichł na czas jakiś, temwięcej, że groziła redukcja na placówce przy Watykanie. Pan Loret znalazł się bez posady. Od czegoż więc zdolności dyplomatyczne; zawiera zgodę ze znieawidzonym i znieślawnionym przez siebie Skirmuntem i z dnia na dzień, z radcy poselstwa przy Watykanie dostaje się na wakuujące stanowisko przy Kwirynale. Nietakt możliwy tylko w stosunkach polskich. Lecz poza zdziwionymi Włochami wszyscy byli zadowolnieni. Pan poseł przy Watykanie Skrzyński stracił antypatycznego współpracownika, pan Skirmunt zaś stracił niebezpiecznego wroga a zyskał ideowego zwolennika, i poparcie przyjaciela p. Loreta — posła Zamorskiego. Pan Skirmunt wyniesiony wysoko, za wysoko, opuszcza Rzym. Nie do zazdroszczenia jest los nowego posła Zaleskiego, przeciw któremu z ko-

lei rozpoczął akcję pan radca, ufny w poparcie znakomitego swego przyjaciela pana Marjana Sejdy. Rozzuchwalony dyplomata endecki terroryzował podczas tych rządów wszystkich, własnoręcznie pobił jednego z sekretarzy dyplomatycznych poselstwa. Pan Sejda sprawę zatuszował i odwołał... pobitego sekretarza.

Przyszły zmiany. Nowy minister, rozejrzawszy się w sytuacji i w stosunkach tej nieszczęśliwej i skompromitowanej placówki, postanowił usunąć z niej skandalicznego radcę, którego konduita dawno przeznaczala do dymisji ze służby w M. S. Z. Tymczasem... pan Loret otrzymuje nominację na *charge d'affaires* do Aten. Dlaczego nie wyrzuca się tak skandalicznego urzędnika, a tylko mianuje wyżej? Dlatego, że pomyślano... pan Loret jest niebezpieczny, pan Loret szkaluje, pan Loret ma wpływowych przyjaciół w prawicy: pp. Strońskiego i Zamorskiego... Trudno — powiadają — taka niewyraźna sytuacja parlamentarna; gdyby to był lewicowiec, dawno by go M. S. Z. nie było, bo lewica niema przesądów personalnych, ale prawica to zupełnie co innego...

Lecz i na tem nie koniec. Bo o to czytamy znowu w pismach, że do Aten na *charge d'affaires* pojedzie pan Perłowski z Rzymu... Co to znaczy? Znaczy, że pan Loret, podobnie jak pan Ciechanowski z Londynu, nie chce opuścić swego stanowiska, a zresztą nie chce, bo nie chce tego i poseł Zamorski...

Zapytujemy więc pana ministra Skrzyńskiego, kto jest właściwie ministrem spraw zagranicznych, i kto mianuje i odwołuje urzędników w tym ministerstwie z dziwnego zdarzenia?

W pałacej sprawie.

Rok bieżący na czoło trosk niezamożnej młodzieży studenckiej wysunął nadmierne opłaty za studia. Rozpaczliwe warunki mieszkaniowe, redukcje, powszechny w okresie sanacyjnym brak pracy zarobkowej, obniżyły stopę życiową setek akademików do tego minimum, przy którym nawet kosztem zmniejszenia racji chleba nie będą w stanie pokryć wygórowanego podatku. Na tle nędzy, w jakiej młode pokolenie Polski pracującej wykuwa kulturalne podstawy państwa, zarysowała się dla wielu nieunikniona konieczność opuszczenia progów wyższych uczelni. Innemi słowy, stajemy wobec wielce dla kraju szkodliwego zjawiska, że brak środków utrudnia wykształcenie zdrowego elementu inteligencji. Dlatego też oświadczenie p. Ministra W. R. i O. P.: „gdyby to odemnie zależało, podniósłbym opłaty akademickie czterokrotnie“—rodzi smutne refleksje na temat braku odczucia dramatu, jaki przeżywa dziś niezamożna młodzież.

Ze swej strony nie znajdujemy uzasadnienia podatku na wyższych uczelniach. Bo skoro zagraża nam hyperprodukcja inteligencji zawodowej, to nie dlatego, żeby nauka była zbyt tania, ale, że nie mamy szkół zawodowych. Wyłaniające się obawy mogą być usunięte tylko drogą reformy szkolnictwa, ale nigdy utrudnieniem studjów wysokimi opłatami. Przeszkodę stanowi podobno zagrożona równowaga budżetu. Otóż niejednokrotnie na tem miejscu ze statystyką w rękę podkreślałiśmy, że znaczną część wydatków oświatowych pochłaniają

dobrze płatne posady bezprodukcyjnego legjonu duchownych różnych wyznań. Dzisiaj wystarczy przeprowadzić odpowiednie redukcje, które przyniosą sumy wystarczające dla pokrycia niedoboru, wywołanego zniesieniem opłat akademickich.

Nawiązując do 92-go artykułu ustawy o szkołach akademickich z dn. 13 lipca 1920 roku, nie można nie zaznaczyć, że jest on sprzeczny z 119 art. ustawy głównej, a tem samym już dawno winien być w drodze prawodawczej przedstawiony do uzgodnienia. Z jednej strony opłaty za biblioteki, egzaminy i laboratoria wchodzi w wyraźną kolizję z zasadą bezpłatnego nauczania, a z drugiej sumy stąd uzyskane, jakkolwiek „przeznaczone na domy profesorskie i akademickie“, są ciężkim podatkiem, nałożonym na ubogie rzesze studentów. W rzeczywistości na cele związane z budową domów, a także na fundusz stypendjalny pobierany jest daleko wyższy haracz. Nic też dziwnego, że zdobycie wykształcenia w tych warunkach jest dla młodzieży niezamożnej nieosiągalnym marzeniem.

Podstawy samodzielnego bytu państwa stanowią rozum i wiedza. Na polu kulturalnej pracy stanęliśmy na szarym końcu, intelektualne życie Polski od szeregu lat wegetuje w atmosferze powojennych stosunków. Nie wolno tedy gasić twórczego zapału młodości. On w walce z zabójczą ciemnotą wyjdzie zwycięsko, by poprowadzić naród szlakami ideałów ludzkości.

n.

Korupcyjna machina.

Wskazawszy w ubiegłym tygodniu trudności na jakie musi się natknąć państwo, gdy opierając się na ustroju kapitalistycznym, jednocześnie staje w dziedzinie przemysłu do konkurencji z produkcją prywatną—przechodzimy do przykładu zademonstrowanego przez rząd na przemyśle wojennym, na którym obok błędów powszechnych, wynikających z biurokratyzmu, wycisnęły swe piętno i nasze lokalne ułomności organizacyjne.

Mamy tu na myśli Centralny Zarząd Wytwórni Wojskowych, organizację którego określa statut zatwierdzony przez Szefa Administracji Armji za Nr. 2378/ P. W., a ogłoszony w Dzienniku Rozkazów Nr. 21 z dnia 5 czerwca 1923 r.

§ 1 statutu stanowi: „Centralny Zarząd, podległy w drodze przez Szefa Administracji Ministrowi Spraw Wojskowych, ma na celu eksploatację istniejących i pobudowaniei eksploatację nowych wytwórni wojskowych“, które „stanowią—łącznie—odrębną jednostkę gospodarczą, finansującą się na zasadach handlowych, administrowaną przez Centralny Zarząd Wytwórni

Wojskowych na zasadach przemysłu prywatnego". Kapitał zakładowy wytwórni składa się z: 1) bilansowej wartości majątku wytwórni i 2) „kapitału uzyskanego ze Skarbu Państwa...“ Kapitał obrotowy składa się z sum „przelewanych z poszczególnych departamentów wojskowych, uzyskanych dla produkcji potrzebnych departamentom przedmiotów wojennego użytku“ oraz sum osiąganych ze sprzedaży fabrykatów odbiorcom prywatnym, co oczywiście w okresie budowy i organizacji zakładów niema realnego znaczenia.

Już przy tem pierwszym zasadniczym zagadnieniu, t. j. sposobie przelewania przez departamenty do kasy zarządu wytwórni kapitału obrotowego, napotykamy dziwoląg organizacyjny. § 5-ty statutu ustanawia następujące rozwiązanie tej sprawy: „suma pobranych zaliczek nie może przekraczać kwoty obliczonej według klucza $(a \times b):12$, gdzie przez „a“ wyraża się preliminowaną na odnośne zamówienia kwotę, zaś przez „b“ wyraża się *cyfrę miesiąca o 60 dni późniejszego od miesiąca, w którym zostaje pobrana ostatnia zaliczka*“. Trzeba podziwiać niebywały dowcip autora tej nowo wynalezionej formuły. Brzmi ona zgoła nieprawdopodobnie. Cóż bowiem za związek istnieje pomiędzy ceną obstalunku, a miesiącem, w którym przystąpiono do jego wykonania, i z jakiej przyczyny należy doń dodawać dni 60? — tego istotnie odgadnąć niepodobna. Tekst jednak tego punktu statutu odzwierciedla dokładnie myśl jego autora, gdyż dla jaśniejszego rzeczy przedstawienia dodany jest następujący przykład: „np. suma zaliczek pobranych do 2-go maja na zamówienie przeliminowane w kwocie 120.000.000 Mkp. nie może przekraczać kwoty $120.000.000 \times (5+2):12 = 70.000.000$ Mp. Ten przykład wskazuje, że mamy do czynienia z przeciwnikiem dowcipnym — wybrał sobie dla przykładu m. maj. Ponieważ jednak statut nigdzie nie stanowi, aby departamenty miały czynić obstalunki wyłącznie 1-go stycznia każdego roku, przeto wolno przypuścić, że kiedyś wypadnie skutecznie go np. w m. październiku. A wówczas zjawi się p. dyrektor zarządu wytwórni ze swoją genialną formułą i oświadczy: dajecie mi panowie obstalunek na 1 milion złotych, a zaliczki należy mi się według klucza: 1 milion złotych $\times (10+2):12$, przeto proszę mi dać 1 milion zaliczki. Odwrotnie, jeśli obstalunek uczyniony będzie w listopadzie, p. szef departamentu oświadczy p. dyrektorowi: oto zamówienie na 1 milion złotych. Według klucza otrzymuje pan zaliczki: 1 milion $\times [11+2=1$ (m. styczeń)]:12, a więc około 83 tysięcy zł.

Należałoby wyciągnąć stąd wniosek, że pora roku odgrywa jakąś niezwykłą rolę w produkcji przedmiotów użytku wojskowego. W rzeczywistości ministerstwo spraw wojskowych kierowało się prawdopodobnie w tym wypadku chęcią uregulowania sprawy zaliczek zgodnie z wykonaniem całokształtu swego

budżetu, zostało to jednak wyrażone w sposób tak niedoleżny i niejasny, a przedewszystkiem w statucie „jednostki gospodarczej” zgola zbędny, że nic więcej nad nieporozumienia i absurdy wyniknąć stąd nie może.

Nie mniej epatujący jest rozdział statutu mówiący o organizacji władz centralnego zarządu wytwórni. Składa się on (§ 6 statutu) z 1) Rady Nadzorczej i 2) Dyrekcji. „W skład Rady Nadzorczej wchodzi: Szef Administracji Armji 2) Szef Wydziału Przemysłu Wojennego. 3) *Delegat Ministra Spraw Wojsk.*, 4) Szefowie departamentów III, VI i VII M. S. Wojsk., 5) Szef oddziału IV Sztabu Gen., 6) Przedstawiciel Ministra Skarbu i 7) Przedstawiciel Ministra Przemysłu i Handlu.

Co przedewszystkiem musi uderzać w tym składzie rady nadzorczej zakładów przemysłowych, to brak fachowców. Zasiadają w niej wprawdzie rzecznicy państwowej polityki przemysłowej, skarbu i wojska, ale ich wiedza urzędowa nie wystarcza do oceny technicznej organizacji produkcji, odgrywającej niezaprzeczenie zasadniczą rolę w przemyśle. Sprawa następną, to obecność w radzie jakiegoś „delegata Ministra Spraw Wojsk.” o którym nawet statut powiada, że może być przez ministra mianowany przewodniczącym tego ciała, w którym zasiada bezpośredni ministra zastępca: szef administracji, a obok niego szefowie departamentów. Jest w tem jakaś niezdrowa supozycja, że minister może nie mieć tak dalece zaufania do swoich zastępców i najbliższych współpracowników, że będzie się widział zmuszonym kontrolować ich przez swego osobistego delegata.

Postanowienie to nabiera specyficznego smaku w świetle § 10 statutu, według którego „członkowie Rady Nadzorczej — a więc generałowie i urzędnicy państwowi — pobierać będą stałe wynagrodzenia określane corocznie przez Ministra!” Nic niemoralniejszego nad obdarzanie osób zasiadających z urzędu w radzie zakładów państwowych specjalnemi honorarjami. Nie trzeba wyliczać ujemnych stron takiego stanu rzeczy — są one zbyt oczywiste. Zarodek zła został przecież jeszcze znakomicie powiększony przez postanowienie § 11 statutu, który głosi: „Oficerowie odkomenderowani do Dyrekcji i do wytwórni, pozostających pod kierownictwem Dyrekcji, pobierać będą, zależnie od funkcyjnego stanowiska w Zarządzie stałe wynagrodzenie, wynagrodzenia procentowe od zysków” i t. d. System gratyfikacji zastosowano również względem komisji rewizyjnej, złożonej z przedstawicieli ministrów: spraw wojsk. i skarbu.

Trzeba w tych warunkach z dużą dozą sceptycyzmu patrzeć na bezstronność sądu Rady i Kom. Rew. o działalności dyrektora, od którego obydwa te dostojne ciała będą dość silnie zależne finansowo.

A teraz odwrotna strona medalu — fabrykacja.

Ocena jakości fabrykatów należy do t. zw. wojskowych komisji odbiorczych, delegowanych przez odnośne departamenty do fabryk wykonywujących zamówienia. Trzeba mieć wiele charakteru na stanowisku szefa takiej komisji, aby dyskwalifikować fabrykat zakładów, w których radzie nadzorczej zasiada prełożony — szef departamentu.

Reasumując — organizacja Centralnego Zarządu Wytwórców Wojskowych jest wielką, lecz niezdarną machiną, dla której smarem ma być zręcznie w statucie przemycona korupcja.

Aby zrozumieć przyczyny, dla których tak się stało, trzeba poznać przedewszystkiem autora całej koncepcji C. Z. W. W. i jego dyrektora, p. Krzyżanowskiego, któremu poświęcimy parę słów w najbliższej przyszłości.

Hallerowicze na zjeździe combatantów.

W połowie ub. m. *British Legion* zorganizował w Londynie kongres *Federation Interallier des Anciens Combatants* (w skrócie F. I. D. A. C.) — Międzysojuszniczego Związku b. uczestników wielkiej wojny.

W Polsce oficjalnie do tego związku należy tylko t. zw. „Związek Halerczyków“, i rzecz naturalna, otrzymał on zaproszenie na kongres.

Po naradach i utarczkach sztab karjerowiczów eksploatujących pracę żołnierza, który dla tych czy innych powodów: z winy Dowbora-Muńnickiego, czy z obozu jeńców niemieckich we Francji — znalazł się w czasie wojny na ziemi naszej zachodniej aljantki, wyznaczył do reprezentowania związku następujących wybitnych uczestników wojny światowej w szeregach aljantów:

P. von. Heltorp und Holtrop — w czasie wojny słuchacz szkoły technicznej w Nancy, poczem ukrywający się przed trudami wojny „*soldat 2-e classe du genie*“, w r. 1919, nie powąchawszy prochu, wysłany na usilne prośby, starania i zabiegi do misji zakupów w Londynie, gdzie wreszcie dzięki protekcji uzyskał stopień kancelaryjnego sierżanta. W tym stopniu i z tak obfitym dorobkiem bojowym uzyskał zwolnienie z wojska;

P. Sierocińskiego, benjaminka p. Hallera, którego karjera wojskowa takim bajecznie kolorowym toczyła się szlakiem: na krótko przed wojną, nie świadom wielkich tego kroku następstw, wyemigrował do Ameryki w poszukiwaniu... dolarów. Już (!) w 1917, zaciągnął się do polskich formacji wojskowych, a w połowie 1918 przybył do Francji i szybko stał się mężem nieograniczonego zaufania ograniczonego Hallera. W tym też charakterze, po paru tygodniach trudów obijania paryskiego bruku, wyjechał na Daleki Wschód, z misją nawiązania kontaktu ze znajdującą się tam polską dywizją. Z tej podróży powrócił wprost już do Polski w połowie 1919 r., gdzie posypały się nań łaski hojnego protektora w postaci szlif oficerskich, orderów i t. d.

Trzecim delegatem jest p. T. Skarzyński, urzędnik National City Bank w New Yorku, w którym pracował spokojnie do wiosny 1918 r. Następnie do jesieni tego roku trudził się patriotycznie w wojskowej komisji rekrutacyjnej w New Yorku, a już po zawarciu *armistice* na teatrze wojny światowej zawiał do Paryża, skąd szybko wrócił na Ojczyznę łono w charakterze tłumacza w wojskowej misji francuskiej. Dzięki wpływom p. Hallera szybko wszakże znalazł się w składzie polskiej misji zakupów w Ameryce, gdzie ciepłym ożenkiem uwieńczył swe trudy wojenne i powrócił do życia cywilnego.

Tacy oto trzej panowie, z woli p. Hallera reprezentowali na kongresie weteranów wojny światowej chwałą okryte polskie znaki wojenne, rycerstwa polskiego tradycje i nowe promienne wawrzyny.

Z austrijackiej przeszłości.

(Leon Biliński: *Wspomnienia i dokumenty*, tom I — 1845-1914, Warszawa 1924).

W ostatnich 2 latach pojawiła się istotna powódź pamiętników pisanych przez mężów, którzy, pragnąc przekazać dobre imię o sobie potomności, rzucili zarazem wiele promieni światła na epokę minioną, zamkniętą wielką wojną światową i traktatem wersalskim. Z polskich mężów stanu pisało swe wspomnienia stosunkowo niewielu. Niedawno dopiero ukazał się oczekiwany z ciekawością pierwszy tom wspomnień Leona Bilińskiego, byłego ministra skarbu austriackiego (1895 — 1897 i 1909 — 1911) oraz ministra finansów wspólnych monarchji austro-węgierskiej (1912 — 1914), długoletniego parlamentarzysty i prezesa Koła Polskiego. Ze wszystkich mężów stanu galicyjskich nikt nie stał tak blisko cesarza Franciszka Józefa i austriackich sfer dworskich, jak zmarły minister Biliński. Znane mu były dobrze kulisy monarchji habsburskiej. Mógł więc nam opowiedzieć dużo spraw ciekawych i rzeczywiście opowiedział. Pomimo wielu usterek stylowych i językowych, czyta się te pamiętniki z niemałym zajęciem.

Z pamiętników Bilińskiego spogląda ku nam pogodna postać człowieka wybitnie uzdolnionego, niezwykle pracowitego, w życiu prywatnym i publicznym ponad wszelką wątpliwość nieskazitelnego. Urodzony w erze centralizmu austriackiego, nie zatracił nigdy polskości. Odsądzali go przez całe życie od patriotyzmu narodowi demokraci, jako jednego z tych, co całe życie przyznawał się do hasła: „Przy tobie stoimy i stać chcemy“, ale my wiemy dobrze, że przy całym lojalizmie, który da się łatwo wytłumaczyć wychowaniem, tradycją rodzinną i warunkami otoczenia, Biliński nie zapominał nigdy o swem społeczeństwie i służył mu jaknajgorliwiej. Chociaż go w 1919 roku „wypędzono“, jak sam pisze, z polskiego ministerstwa skarbu na żądanie Padarewskiego, któremu na jego szkodliwe dla skarbu polskiego plany nie dawał aprobaty, do społeczeństwa nie zachował żalu. Przeciwnie, jeszcze na parę miesięcy przed śmiercią, gdy go wezwano do Warszawy na konferencję byłych ministrów skarbu dla obmyślenia sposobów ratowania waluty, nie mogąc sam przybyć z powodu choroby, przysłał na piśmie obszerny memorjał.

Okazji do wynarodowienia się Bilińskiemu nie brakło. Zaręczony z niemką, córką lekarza z Cieplic, gdy okres narzeczeństwa zbyt długo się przeciągał, odmówił żądaniu teścia, aby się przeniósł do Cieplic na advokaturę i tam po 7 latach praktyki zamieszkał na stałe z żoną, co by w przyszłości niechybnie pociągnęło za sobą wynarodowienie. Biliński twardo odmówił, pisząc, że polak służy tylko krajowi i nie opuszcza go dla zarobku, pomimo że ta odpowiedź groziła mu zerwa-

niem z kobietą, którą kochał przez całe życie niemal bałwochwalczo. Z trudem udało mu się wtedy i swoje stanowisko obronić i zerwania uniknąć. I później niejednokrotnie, gdy mu, jako już posiwiątej ekscelencji, ofiarowywano wysokie stanowiska, na których nie miałby żadnej styczności ze sprawami kraju (jak np. prezydentura najwyższej izby obrachunkowej), propozycję odrzucał i wracał do Koła polskiego, choć miał w perspektywie bezustanne użeranie się z endecją, która go aż do śmierci gnębiła.

Z całej postaci Bilińskiego przebija polski charakter. Natura miękka, dobronudzna, a przytem tak bardzo ambitna; skłonna do usłużenia ludziom, za co go spotyka potem niesłuszny zarzut endecji jakoby uprawiał na wielką skalę protekcyjność. Zarzucano mu, że przez swe stosunki umieścił swych braci na wysokich stanowiskach, choć, jak się to skądinąd okazuje, byli to ludzie utalentowani i fachowo uzdolnieni. Były tam może pewne rzeczy niewłaściwe. Tak np. za poparcie przez wrogą grupą bankowców Biliński wyjednał u cesarza dla dyrektora Krasny'ego godność szlachecką. Ale to wygląda tak niewinnie wobec tego, co dziś widzimy dokoła siebie bezustannie. Jakże dużo staropolskiej poczciwości widzimy w dążeniu Bilińskiego do pojednania się z przeciwnikami, z wyjątkiem tych wypadków, gdy zła wola była oczywista. Jak rozbajającym jest żal, że jeden z przeciwników (deputowany Schaup) już umarł i że niepodobna go wobec tego przekonać o niesłuszności zajętego przezeń stanowiska. A już bodaj że najbardziej polskim jest zwyczaj radzenia się we wszystkim żony, do czego się Biliński otwarcie przyznaje, uważając to za całkiem naturalne: „Poddałem się orzeczeniu żony, której rady były mi zawsze zbawienne“ (str. 138). To też nic dziwnego, że wielu mężów stanu, chcąc skłonić Bilińskiego do przyjęcia teki, zwracało się najpierw do żony, która musiała być kobietą niepospolitą i zręczną. Nauczyła się ona szybko po polsku i stała się polką, co udobruchało starego Grocholskiego z początku nieprzychylnie patrzącego się na małżeństwo Bilińskiego z niemką.

Z wszystkich ministrów polskich Biliński był najbardziej może ulubieńcem cesarza Franciszka Józefa, który go cenił za prawość charakteru i za zdolności polityczne i towarzyskie. Nie Dunajewski, którego cesarz nazywał starym zrzędą (der alte kamizicher), nie Badeni, który po paru latach sympatji monarszej popadł w niełaskę, na jaką zasłużył zupełnym brakiem charakteru, lecz Biliński przez długie lata mile był widziany przez cesarza. Nie pochlebstwem zdobył sobie Biliński tę sympatję. Przeciwnie, nieraz składał dość rzadkie u dworaków dowody odwagi cywilnej jak np. wtedy, gdy interweniował, jako wiceprezes Koła, przeciw drażniącemu ludność kwaterunkowi żandarmerji po wsiach, a na zwróconą mu przez

cesarza uwagę, że sprawa kwaterunku nie należy do posłów parlamentarnych, odpowiedział, że już się zwrócił do rządu o wyjednanie zniesienia tego zarządzenia u cesarza i uważa za bardzo smutne, że rząd posiada tak mało wpływu na cesarza. Tu Biliński dodaje: „Na tem się skończyła audjencja, ale nie łaska cesarska dla mnie“.

Biliński zaprzecza utartym wersjom o zniedołężnieniu cesarza w ostatnich latach przed śmiercią: przypisuje mu zdrowy sąd we wszystkich sprawach związanych z wojną. Był Biliński jednym z wielu wysokich urzędników, służących aż do ostatka steremu cesarzowi. Wszyscy inni odpadali; w przecuciu rychłego zgonu starego cesarza woleli raczej kaptować sobie życzliwość następcy tronu, Franciszka Ferdynanda, który nie tał niechęci do wszystkich osób, miłych swemu stryjowi.

W oświetleniu Bilińskiego osoba Franciszka Ferdynanda przedstawia się nad wyraz ujemnie i niesympatycznie. A przecież byli u nas tacy, którzy z upragnieniem oczekiwali Koronacji tego pomazańca. Niektórzy czynili to w przekonaniu, że zamordowany w Serajewie arcyksiążę był zwolennikiem wojny z Rosją. Biliński rozprawia się i z tą legendą, dowodząc, że arcyksiążę w wojnę nie wierzył i jej nie pragnął, choćby ze względu na żonę, która obawiała się, czy pełnienie przezeń obowiązków naczelnego wodza nie zaszkodzi jego zdrowiu. Dowiadujemy się od Bilińskiego, że cesarz nie lubił swego domnianego następcy, nie ufał mu i nieraz ostrzegał swych ministrów przed jego rzekomo „fachową wiedzą“ (str. 240). W razie konfliktu między zdaniem Franciszka Józefa a zdaniem Franciszka Ferdynanda, Biliński stał zawsze po stronie starego cesarza, podkreślając, że „na podstawie przykładów dziejowych uważa rządy dwóch naraz cesarzy za nieszcześnie“ (str. 241). To też Franciszek Ferdynand nienawidził Bilińskiego i raz nawet wyraził mu na piśmie swoją najwyższą nieufność.

Skąpstwo pary arcyksiężęcej było nadzwyczajne. Lubiała ona bawić się w filantropję, ale ze środków państwowych, nie kosztem własnej kieszeni, co także musiało wywoływać konflikty z Bilińskim, jednym z najoszczędniejszych ministrów skarbu.

O cesarzu Karolu wyraża się Biliński z wielkiem lekceważeniem. Zarzuca mu brak rozumu, charakteru i odwagi cywilnej, i zdaje się, że się nie pomylił. Karol dostał się wcześniej pod wpływ klikli wojskowej, która otaczała Franciszka Ferdynanda, to też ludzie mili Franciszkowi Ferdynandowi stali się i jemu bliscy, i naodwrot.

Z mężów stanu austriackich, bliżej nam znanych, bardzo niekorzystnie wypadła charakterystyka Berchtolda, wiecznie roztargnionego, zapominającego w najważniejszych momentach o sprawach, od których zawisł niemal los świata. O Koerberze pisze Biliński z wielką symyatią, chociaż jej nie

motywuje: sympatja ta opierała się widocznie na osobistych dobrych stosunkach. Z polskich parlamentarzystów na niezycieliwą opinię zasłużył sobie swą nieszczerością Głabiński, o którym w rozmowie z Bilińskim wyraził się jeden z austriackich premierów, że miał on zwyczaj klubowi swemu opowiadać coś innego, niż mu mówił minister, a ministra informować o przebiegu obrad w klubie niezgodnie z rzeczywistością. Innemu narodowemu demokracie Skarbkowi zarzuca Biliński, że przez niezwrócenie uwagi na mylną interpretację regulaminu gotów był uwikłać Koło polskie w wielką przykrość, byle tylko skompromitować Bilińskiego, i zapytuje: „Prawda, że to patriotyczne?” (str. 218). Wiemy, co sądzić o tym patriotyzmie, skoro ten dezorganizator Legjonu wschodniego w parę miesięcy po wypadkach w Mszanie podpisał niesmacznie hołdowniczy adres do Franciszka Józefa, napisany przez Stanisława Tarnowskiego na zamówienie hr. Stuerghka.

Wybuch wojny ożywił w Bilińskim chęć służenia niepodzielnie sprawie polskiej, której wagę w tej chwili dziejowej od początku należycie oceniał. „Austrofilstwo“ Bilińskiego nie miało nigdy nic wspólnego z negacją niepodległości. Nie mówił on, jak endecy politycy z Królestwa, że Polska raz na zawsze związana jest z zaborczym mocarstwem. Już w 1883 roku w swej mowie kandydackiej do parlamentu wyraził zdanie, że „pragnienie nasze odbudowania Polski znanem jest także sferom decydującym“, co ściągnęło nań na pewien czas niełaskę kół wiedeńskich. A w 30 lat później, broniąc się przed zarzutem sforsowania wypowiedzenia wojny Serbji przez Austriję, dodaje od siebie, że, gdyby nawet tak było, trudnoby mu ze stanowiska polskiego stawiać zarzuty, gdyż „od upadku Napoleona i od czasów Mickiewicza jedna generacja polska po drugiej oczekiwały zmartwychwstania Ojczyzny od wojny europejskiej, mającej pognać Rosję“ (str. 289). Wiara, że swą działalnością przyczyni się do odbudowania Polski, ożywiła starca w ostatnim okresie jego życia, a do tej wiary w niemałym stopniu przyczyniło się przekonanie o „genjuszu Piłsudskiego“ (str. 302).

„W roku 1919 — pisze Biliński — stanąłem jako desygnowany minister polski przed Naczelnikiem Państwa, a mimo wolna dla dygnitarza tej miary cześć przemieniła się wkrótce w podziw, gdy na konferencjach ministrów słyszałem niejednokrotnie ze strony Naczelnika słowa, pełne zarówno dziwnie wzniosłej i oryginalnej wymowy, jak głębokiej mądrości wytrawnego męża stanu“ (str. 301).

Niedługo wypadło Bilińskiemu pozostawać na tem stanowisku, z którego był tak dumny. Wyparła go stamtąd nienawiść jego śmiertelnej nieprzyjaciółki, Narodowej Demokracji. O tych jego perypetjach dowiemy się bliżej z drugiego tomu „Wspomnień“, gdyż pierwszy kończy się na lutym roku 1915.

Sądząc z niektórych pełnych goryczy uwag zmarłego w zeszłym roku ministra o swych przejściach w roku 1919, wnioskować możemy, że te rewelacje nie będą bardzo przyjemne dla stronnictwa, które po zamachu stanu w styczniu 1919 roku sięgnęło po władzę. Prawość charakteru Bilińskiego daje rękojmię, że rewelacje te będą prawdziwe.

J. Krzesławski.

Wydawnictwa nadesłane.

WŁADYSŁAW GRABSKI I SANACJA SKARBU POLSKIEGO — *Politicus*. Str. 46. Dom Wydawniczy Franciszka Głowińskiego i S-ka Lublin 1924.

Treściwa, świetnie napisana broszura, jest niewątpliwie najlepszym z dotychczasowych popularnym streszczeniem dziejów 6-cio letniej państwowej gospodarki finansowej. W ciasnych ramach pracy, anonimowy, chociaż najwidoczniej kompetentny autor dał plastyczny obraz przyczyn i skutków: początkowo niestalości, później całkowitego zawalenia i wreszcie, ustabilizowania się pieniądza, dając na tym tle szczególnie dobitną charakterystykę działalności trzech ministrów skarbu: Michalskiego, Kucharskiego i Władysława Grabskiego. Tego ostatniego autor jest widocznym przyjacielem, a nawet apologetą, ku czemu ma zresztą mocne podstawy realne. Wiara w ludzi twórczego czynu i istotnych zasług jest zjawiskiem zdrowym i godnym godziwej propagandy. Dziełko ze wspaniałym miar polecamy naszym czytelnikom.

PANTEON POLSKI — dwutygodnik, poświęcony poległym w bojach o Niepodległość Legionistom (1914—1918) i tym towarzyszom broni, którzy zginęli w walkach o granice Państwa (1918—1920) — wyjdzie dnia 1 listopada br. nakładem Związku Legionistów Polskich we Lwowie.

Redakcja uprasza rodziny, krewnych i kolegów o nadsyłanie fotografii, szczegółów życia i czynów poległych; również prosimy o opisy niektórych fragmentów bitew i t. p. Prócz życiorysów poległych, umieszczać się będzie podobizny i epizody z życia żyjących dowódców i zasłużonych bojowników o Wolność i Niepodległość Ojczyzny.

Wszystkie przesyłki przyjmuje *Związek Legionistów Polskich—Lwów Zielona 7*, dokąd nadsyłać można również zamówienie na przedpłatę która wynosi 3.50 Zł. kwartalnie.

Czysty dochód na budowę domu Legionistów we Lwowie.

Treść № 59-go: Z ziemi obcej do polskiej...—Dojrzałość czy bezwład sejmu - *W. Styczyński*. — Anatol France. — W M. S. Z. dzieje się i nadal nie-dobrze... — W palącej sprawie - *n.* — Korupcyjna machina. — Hallerowicze na zjeździe combatantów. — Z austriackiej przeszłości - *J. Krzesławski*.
Wydawnictwa nadesłane.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty**, kwartalnie **3 złote**. Zagranicą kwartalnie **5 złotych**.

Konto czekowe w Pocztovej Kasie Oszczędności Nr. **3288**.

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Styczyński**.

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA“, Moniuszki 11.